

Pełna emocji opowieść o pragnieniu miłości
i zrozumienia, oraz o próbie dotarcia do samego siebie.

RÓŻA WIATRÓW

Agnieszka
KRAWCZYK

FILIA

Agnieszka
KRAWCZYK

RÓŻA
WIATRÓW

FILIA

1.



Pora śniegu skończyła się nieodwołalnie w połowie lutego, o czym świadczyło pojawienie się ptaków, zmieniający się zapach powietrza i nieśmiało wyglądająca z ziemi zielona trawa. Tylko morze miało wciąż kolor mrozu. Barwę chłodnej stali, mroczną i nasyconą, bardzo tajemniczą i niedostępną. Zimą woda ściślej łączyła się z niebem niż latem. Dominowała szarość, zawieszona w powietrzu niczym gęsta mgła. Kiedy jednak stopniał śnieg i na nowo ukazał się piasek, a horyzont zaczęły pokrywać drobne smugi złota przełamujące wszechogarniającą szarzyznę, znaczyło to, iż nadeszła oczekiwana zmiana. Nieśmiałe blaski różowości zapowiadały, że dni, coraz dłuższe, szybko staną się ciepłe.

Tak przynajmniej uważał Józef Orłowski, który – wyprawiwszy wnuczkę na studia do Gdańska – czuł się przez zimę bardzo samotny. Oleńka oczywiście przyjeżdżała co weekend, opowiadając, co się wydarzyło na uczelni i w akademiku. Dzwoniła też do dziadka każdego dnia. Prawda jednak była taka, że staremu brakowało codziennej obecności wnuczki. Sezon dawno minął i w Dębках nie było nic konkretnego

do roboty. Dom Konrada Malinowskiego został sprzedany pod koniec lata, a nowi lokatorzy nie potrzebowali jego pomocy. Zresztą sam by do nich nie poszedł. Co to była za para! Jacyś zarozumiali ludzie, którzy pozjadali wszystkie rozumy. Zupełnie inni niż pani Matylda, która potrafiła grzecznie porozmawiać, wysłuchać człowieka, a nawet sensownie doradzić.

Starszy mężczyzna tęsknił nie tylko za wnuczką, lecz także za wszystkimi znajomymi z lata: elegancką i utalentowaną Matyldą, spędzającą zimę w rodzinnym mieście, za archeologiem Łukaszem, który – jak wieść głosiła – wykładał gościnnie w Toruniu, wreszcie za Ignacym, co wciąż próbował przenieść się do Gdańska, żeby tutaj dokończyć swoją pracę magisterską. Oleńka zawsze ożywiała się, gdy rozmowa schodziła na temat chłopaka. Nie miała wątpliwości, że wkrótce uda mu się załatwić formalności i zjawi się na Pomorzu.

– To nie takie łatwe, dziadku – przekonywała. – On musi wszystko uzgodnić ze swoim promotorem i dopiero wtedy go puszczą.

– No, ale pan Rokicki obiecywał, że mu jakąś robotę załatwi przy muzeum w Gdańsku. – Orłowski pykał swoją rybacką fajeczkę i przyglądał się wnuczce z niedowierzaniem.

– Owszem, ale ważniejsza sprawa to magisterka Ignacego. Nie może wyjechać bez zgody promotora.

I tak się to ciągnęło przez wszystkie chłodne miesiące. Józef czuł się coraz bardziej przygnębiony i zniechęcony. Wreszcie nadeszła radosna wiadomość od Łukasza Rokickiego – jego architektka, Bogna Wencel, uzyskała wymagane pozwolenia i na wiosnę będzie można rozpocząć przenoszenie starego domu,

który archeolog niedrogo kupił, czy też nawet dostał, w okolicy. Poprosił byłego latarnika o pomoc w tych pracach.

– Byłbym spokojniejszy, panie Józefie, gdyby mi pan tam na miejscu wszystkiego doglądał – zaproponował, gdy wpadł do Orłowskiego w drodze do Gdańska.

Starszy mężczyzna zadumał się głęboko nad tą propozycją, ale potem się ucieszył.

– Doglądać budowy, pan mówi?

– Oczywiście, tam będzie moja architektka i kierownik robot, ale zawsze dobrze też mieć kogoś zaprzyjaźnionego – tłumaczył archeolog, a Orłowski kiwał głową. Był zadowolony, że okazuje mu się takie zaufanie.

– Święte słowa! Pan Konrad też nigdy nie narzekał, jak mu się domem opiekowałem. Spojrzę i na pańską działkę, panie Łukaszu, ale między nami mówiąc, to kiepskie miejsce sobie pan wybrał. Pewnie niedrogo policzyli za ziemię, co?

– Nie tak znowu tanio – roześmiał się Rokicki. – Mnie się ta okolica bardzo podoba. Piękny widok na morze i ta przestrzeń...

– Ale droga kiepska i do cywilizacji daleko. To się tak łatwo mówi, ale sąsiad to ważna sprawa.

– Oby dobry – dorzucił Łukasz z humorem, a Józef znów się zamyślił.

– To też prawda – przyznał. – Ja w sumie na swoich nie mogę złego słowa powiedzieć, choć też się plotkarki trafiały, ale wiadomo, różnie może być. Jedyna nadzieja, że jak pan tam domek pobuduje, to i inni ludzie się zachęcą...

– O, na to, to ja wcale nie mam ochoty – stwierdził Rokicki. – Specjalnie wybrałem takie odosobnione miejsce, żeby mi nikt w okna nie zaglądał i się nie kręcił w pobliżu.

– Młody pan jeszcze jesteś, to się panu wydaje, że bez ludzi łatwiej. A tak nie jest – podsumował Orłowski, nabijając swoją fajkę. – A pani Matylda to kiedy przyjedzie?

Przez twarz archeologa przebiegł uśmiech.

Matylda kończyła przygotowywać zgłoszenie na konkurs tkaniny w Łodzi. Można było przedstawić do oceny kilka prac, więc wybrała jeden z gobelinów pozostawionych we dworze w Drozdowie oraz ten z wizerunkiem morza, który już od pewnego czasu nosił nazwę *Przylądek Wichrów*. Zdecydowała się też na wykonanie czegoś zupełnie nowego. To właśnie pochłaniało ją przez większą część zimy. Tkaniny, które powstawały, miały być zresztą częścią większej serii „drozdowskiej”, tworzonej dla Anity Orontowicz. Inspirację stanowiły motywy egzotyczne, zaczerpnięte z dworskiej oranżerii. Matylda obiecała właścicielce, że wróci na wiosnę, żeby przygotować kilka gobelinów specjalnie dla niej. Te, które wisiały w hotelowym hallu jako dekoracja, wzbudziły ogromne zainteresowanie i większość została sprzedana właściwie od ręki. Matylda podarowała Anicie jeden, właśnie ten, który teraz miał pojechać do Łodzi. Łukasz uśmiechnął się na to wspomnienie.

– Przyjedzie? – powtórzył jak echo Orłowski, wciąż pytający o artystkę.

– Tak, oczywiście. Myślę, że niedługo. Musi tylko dokończyć swoje prace na wystawę i przyjeżdża.

– O, to wspaniale. Oleńka tak ją lubi, ucieszy się dziewczyna.

– A jak Oli idą studia? Zadowolona? – zainteresował się życzliwie archeolog.

– Bardzo. Ja nie byłem do tej geologii przekonany, ale to doskonały fach i świetna przyszłość. Dziewczyna na pewno będzie miała pracę zapewnioną. No i podoba się jej to. Ma miłą koleżankę w akademiku, ułożoną panienkę, nie jakieś fiu-bzdziu w głowie, Edyta jej na imię, bardzo się cieszę, że to się wszystko tak potoczyło.

– No to doskonale. Pojadę już, panie Józefie, bo muszę jeszcze skoczyć do urzędu w Lęborku, potem na uczelnię do Gdańska, pozatłatwiać różne sprawy.

– Oczywiście. Praca najważniejsza.

Starego nurtowała jeszcze jedna kwestia.

– A ta nasza... Alicja... Nie dała znaku życia, prawda?

Matka Oli, Alicja Orłowska opuściła dziewczynkę, gdy ta była małeńka, tuż po śmierci jej ojca w wypadku na morzu, i nie pojawiła się więcej. Jej nieobecność bardzo źle wpływała na Aleksandrę. Marzyła o powrocie Alicji przez wiele lat, wierząc w morskie legendy, głoszące, że można na plaży odnaleźć zaginiony skarb, który zwróci zabraną przez morze ukochaną osobę. Łukasz, Matylda i Ignacy postanowili pomóc dziewczynie, ale bez jej wiedzy. Dzięki informacji od Orłowskiego odnaleźli Alicję w Szwecji. Łukasz się z nią skontaktował, ale kobieta nie okazała entuzjazmu. Była zdziwiona, że ktoś po tak długim czasie próbuje jej szukać. Archeolog miał nadzieję, że Alicja, gdy sobie wszystko przemyśli i ułoży w głowie, zdecyduje się na rozmowę z córką. Stało się jednak inaczej. Minęło wiele miesięcy, a Orłowska milczała. Cała misja okazała się niewypałem. Łukasz gratulował sobie wręcz, że o niczym nie powiedzieli Oli – dziewczyna byłaby mocno rozczarowana, może cierpiałyby bardziej.

– Nie, nie odezwała się – odpowiedział.

Józef westchnął.

– Taka właśnie zawsze była. Samolubna. Liczyło się dla niej wyłącznie własne szczęście. O innych nie dbała. Ale dobrze, żeście się przekonali. Wszyscy się przekonaliśmy – poprawił się, a potem zamilkł już na dobre.

Łukasz uściśnął jego dłoń i wszedł do samochodu.

Sprawdził godzinę na zegarku i zdecydował się jeszcze podjechać na przyszyły teren budowy. Przez ten czas sporo się tutaj zmieniło, przede wszystkim miejsce było już uporządkowane. Archeolog wiedział, że gdy zostaną załatwione wszystkie pozwolenia, dokonane wszelkie odbiory, sprawy nabiorą tempa. Nie mógł się już doczekać, żeby zobaczyć w tym miejscu swój nowy dom. A właściwie – stary dom, który dla niego miał być tym nowym.

Oczywiście, mógłby budować od początku, to zapewne byłoby łatwiejsze. Ale on zakochał się w tym domku bez pamięci i kiedy okazało się, że może go dostać praktycznie za bezcen, nie wahał się ani chwili. To był znak. Jeden z wielu tamtego lata. Pierwszym był zachwyt Matyldy tym klifem, a właściwie – źle powiedziane – zdecydowanie najważniejszym znakiem dla niego była sama Matylda. To ona mu uświadomiła, że czas przestać gonić po świecie w pościgu za marzeniami, a pora je realizować tutaj, na miejscu.

I to nie było tak, że zamierzał odłożyć czynne uprawianie archeologii i zostać jedynie wykładowcą czy instruktorem nurkowania. Nie potrafiłby przecież żyć bez swojej pracy naukowej. Zrozumiał jednak, że brakuje mu stałego miejsca, gdzie mógłby rzucić kotwicę, portu, do którego zawsze się wraca,

z każdej podróży. Własnego pokoju, z wielkim oknem otwierającym się na morze, gdzie przy sosnowym stole będzie opracowywał notatki z badań. Tarasu, na którym powita każdy nowy dzień, zarówno w pogodę, jak i w sztormowy poranek. Pragnął przestrzeni, widoku i poczucia przynależności do miejsca. Czuł, że w jego życiu przyszedł czas na taką właśnie stabilizację. Do tej pory właściwie tylko wynajmował mieszkania albo korzystał z hoteli asystenckich przy uczelniach. Tak było dla niego prościej. Teraz niespodziewanie zaczął marzyć o czymś dla siebie i na stałe.

Co o tym myślała Matylda?

Nie naciskał na nią w ciągu tych jesiennych i zimowych miesięcy, bo wiedział, jak ceniła sobie swoją osobistą i zawodową niezależność. Nie padło między nimi wiele słów, ale deklaracja artystki, że przyjedzie do Drodzowa wraz z nadejściem wiosny, dawała mu nadzieję, że wszystko jest na właściwej drodze. Ten sen miał szanse się spełnić, a marzenie mogło się urzeczywistnić. Łukasz nie chciał jednak przyspieszać biegu zdarzeń i wymuszać deklaracji. Cóż bowiem po decyzjach podejmowanych pod presją? Nie są i nie będą nigdy szczere, bo przecież muszą wynikać z potrzeby serca.

Domu zresztą jeszcze nie było. Uporczywie czepiał się myśli, że Matylda obiecała mu, że go urządzi. Niecierpliwił się i przesłał jej nawet całą dostępną dokumentację – plany i zdjęcia. Była podobnie jak on zachwycona i uważała, że budynek świetnie pasuje do Przylądka Wichrów.

Ona tymczasem kończyła swoją konkursową pracę i dumiała nad tym, co się zdarzyło. Lato, które spędziła w Dębках, było dla niej niezapomniane. Zaczęło się wszystko niewinnie i zwyczajnie od zlecenia przyjaciółki na przygotowanie domu jej brata do wystawienia na sprzedaż. Matylda właśnie takimi rzeczami się trudniła, gdy nie miała klientów na swoje tkaniny, i robiła to bardzo dobrze. Praca przy aranżacji wnętrza nadmorskiego domku szybko przestała być najważniejsza. A co okazało się najbardziej istotne? Bliskość, jaka nawiązała się pomiędzy nią a innymi ludźmi. Artystka rozumiała, że nie można oceniać drugich po pozorach. I tak opryskliwy i przemądrzały Orłowski dał się poznać jako dobry i uczynny człowiek, zamknięta w sobie i wyobcowana Aleksandra ujawniła swą wrażliwość i serce pełne czułości, wreszcie Ignacy – zwariowany i nonszalancki – był tak naprawdę podatnym na zranienie romantykiem. A co ukrywał Łukasz? Ich relacja komplikowała się od samego początku. Orłowski określił go mianem „latawca bez sznurka” i miał słuszną rację, gdyż archeologa wciąż nosiło po świecie. Ale teraz wszystko się zmieniło. Nie padło pomiędzy nim a Matyldą zbyt wiele słów, pozostały niedopowiedzenia. Oboje jakby się obawiali, co może przynieść takie wyznanie, zbytne zbliżanie się do siebie, zobowiązania. Chyba milcząco uznali, że tak będzie lepiej – bez deklaracji i oczekiwań. Czegoś jednak brakowało w tym układzie, tak przynajmniej uważała kobieta.

Łukasz poprosił ją o przyjazd na Przylądek Wichrów, gdy dom będzie już przeniesiony. Miałaby pomóc mu w urządzeniu całości, bo się na tym nie znał, a przynajmniej tak twierdził.

To nie wydawał się szalony plan, bo Matylda lubiła takie wyzwania. Domek archeologa był śliczny. Rozwiesiła zdjęcia,

które od niego dostała, po całej swojej pracowni i zerkała na nie często. Nierzadko odrywała się od pracy przy swoim wystawowym gobelinie, żeby zrobić jakiś szkic wnętrza, który właśnie wpadł jej do głowy. Zwłaszcza zimą, gdy dni trwały krótko, śnieg walił w okno, a mdłe światło wpadało przez przyprószone szyby tylko do południa. Wtedy wołała pomyśleć o urządzaniu domku niż o swojej pracy przy tkaninie. Mimo iż dom miał stać nad morzem, postawiła w wystroju na styl wiejski – odsłonięte belki sufitowe, dużo drewna i wielki pobielony wapnem piec, jako główną atrakcję największego pomieszczenia.

Tak się bawiła w mroźne miesiące, rzadko widując się z Łukaszem, który wpadał do niej w przelocie pomiędzy swoimi sprawami naukowymi i urzędowymi. Ich spotkania były gorące i intensywne, ale krótkie i pozostawiające niedosyt. Miała wrażenie, że jej przyjaciel prowadzi jakąś gorączkową działalność, o której nie do końca ją informuje. Czy były to jakieś problemy z pracą? W końcu nie wykorzystał karaibskiego grantu i pewnie musiał jakoś wytłumaczyć swoją nieobecność przy tym projekcie. Matylda próbowała podpytywać go, czy nie ma jakichś problemów z tego powodu, ale nie chciał w ogóle mówić na ten temat. Robił się od razu milczący i niechętny. Martwiło ją to, ale zgodnie ze swoim charakterem nie chciała dociekać przyczyn. Wolność zawsze była dla niej najważniejsza, także ta pomiędzy dwójgiem ludzi. Oplatanie kogoś sobą budziło w niej niechęć, a może i wstręt. A jednak czuła, że coś jest nie tak, jak być powinno, rodziły się pytania bez odpowiedzi, pojawiały niepokój.

Może dlatego zgodziła się na propozycję Anity, a właściwie Irminy Orontowicz, jej córki? To było bezpieczne wyjście

z sytuacji. Mogła wrócić w pobliże Łukasza na całą wiosnę i być może znowu na lato, zachowując jednak pewną niezależność.

Gdyby coś ułożyło się nie całkiem po mojej myśli – dopowiadała w duchu i czuła się uspokojona.

Anita postanowiła podjąć terapię w zamkniętym, prywatnym ośrodku. To była wielka rzecz, bo z trudem przyznawała się do swojego nałogu. Córka wiązała z tym ogromne nadzieje i wspierała matkę. Zdecydowała się też pomóc w prowadzeniu Drozdowa. Ojciec nie bardzo się w to mieszał. Po ujawnieniu kiepskiej sytuacji majątkowej Orontowiczów Michał zostawił zarządzanie hotelem całkowicie na głowie żony i córki, a sam zajął się ratowaniem reszty podupadającego przedsiębiorstwa. Po rozmowie z Anitą, w której zarzuciła mu, że kupując i restaurując Drozdowo, korzystał z pieniędzy jej rodziców, stracił serce do tej posiadłości. Irmina uważała wręcz, że uniósł się honorem, albo – co bardziej prawdopodobne – postanowił udowodnić żonie, iż nie poradzi sobie z zarządzaniem tym miejscem. I nie mylił się aż tak bardzo. Anita, całkowicie rozchwiana emocjonalnie po odejściu męża, z trudem była w stanie skupić się na swoim zdrowiu i podjąć terapię. Irmina była pełna dobrych chęci – gotowa przerwać studia i zająć się pracą w rodzinnym biznesie, byle tylko nie stracić dworu. Chciała za wszelką cenę pokazać ojcu, że razem z matką sobie poradzą. W dodatku zaczęły pojawiać się plotki o jakimś kolejnym romansie Michała, co tylko pogłębiło depresję Anity. Na szczęście w porę pojawiła się Justyna Malinowska, przyjaciółka Matyldy. Od dłuższego czasu pragnęła zainwestować w elegancką i perspektywiczną nieruchomość. Z Michałem trudno się było porozumieć, ale z Anitą i Irminą sytuacja wyglądała zupełnie

inaczej. Justyna jednak nie chciała naciskać ani wykorzystywać trudnej sytuacji.

– Nie zamierzam robić żadnych złotych interesów – tłumaczyła Matyldzie, która całkowicie podzielała ten pogląd. – Nie zniosłabym świadomości, że uważają się za postawione pod ścianą. Wiem, to jest biznes i najlepiej zarabia się, gdy ktoś ma kłopoty, ale ja sama odeszłam z korporacji właśnie w takich okolicznościach.

Matylda świetnie zdawała sobie z tego sprawę. Justyna przyznała się tamtego lata, że stres i walka o swoją pozycję także doprowadziły ją do nałogu. Przyjaciółka rzuciła nie tylko toksyczną pracę, lecz także picie. Zmieniła przy okazji sposób myślenia. Nie potrzebowała już rywalizacji i dorabiania się za wszelką cenę, marzyła o spokoju.

– Co zatem zrobisz? – dopytywała Matylda. – Tak ci zależało na tych udziałach w Drozdowie.

– To prawda. Najpierw miałam nadzieję, że dogadam się z Michałem. Wydawał mi się sensowny, choć cyniczny. Ale potem chyba dobrze się stało, że zostawił to Anicie. Bardziej zasługuje na ten hotel.

– Tylko raczej nie umie go prowadzić.

– Będzie się musiała nauczyć. Podobnie jak ich córka. To może być dla dziewczyny prawdziwa szkoła życia.

– Oby nie zbankrutowały – przestrzegła Matylda. – Byłoby szkoda pięknej posiadłości, no i ich obu. Anita kocha to miejsce, a Irmina ma mnóstwo chęci.

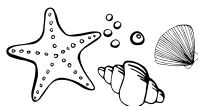
– Nie martw się, pomogę im. Obiecałam Anicie, że pożyczę jej pieniądze. Mam nadzieję, że gdy opracujemy jakiś sensowny plan, staną na nogi. Liczę, że zechcą dopuścić mnie do spółki.

– Jesteś bardzo szlachetna.

– Chcę być w porządku wobec siebie i innych. Zależy mi na tej inwestycji, ale nie za wszelką cenę i nie po trupach. Wiosną, gdy hotel zacznie działać, na nowo przyjadę do Drozdowa i doradzę im.

W ten sposób wszyscy czekali na wiosnę. Na pierwszy ciepły powiew, który świadczyłby o tym, że wiatr się zmienia.

2.



Irmina Orontowicz stała za ladą w recepcji i biedziła się nad księgą zamówień. Pieniądze, które z matką pożyczyły od Justyny, powoli się kończyły, a dziewczyna nie chciała występować o kolejną pożyczkę. Malinowska i tak wiele dla nich zrobiła. Przede wszystkim po długiej i dramatycznej rozmowie namówiła jej matkę na leczenie, za co Irmina była ogromnie wdzięczna. Kwota, jaką otrzymali, miała pomóc wykaraskać się z największych tarapatów. Tak się jednak nie stało.

Zima to był martwy sezon – pocieszała się dziewczyna, wpatrując w listę rezerwacji. Mimo iż nadeszła wiosna, wciąż nie było ich zbyt dużo. Kilka osób wpadło tutaj przejazdem, zwykle z ciekawości, gdyż okazała rezydencja dworska w takiej niedużej wiosce budziła zainteresowanie. Czasami taki zabłąkany gość pojawiał się przypadkiem, jak właśnie tego dnia.

Był to mężczyzna po pięćdziesiątce, wysoki i szpakowaty, ubrany na sportowo, ale widać było, że nie leży mu ten strój. Najwyraźniej był przyzwyczajony do bardziej oficjalnego stylu. Rozejrzał się ciekawie po hallu, gdzie wciąż

jeszcze wisały niektóre prace Matyldy Radwan, potem zbliżył się do okna i wyrzwał na uśpiony ogród. Najwyraźniej coś przykuło jego uwagę i zaczął się wpatrywać w park z dużą intensywnością.

– Ciekawe, o co mu chodzi? – szepnęła Ola, która tego dnia skończyła zajęcia wcześniej i przyjechała pomóc Irminie przez weekend. Tak po prawdzie nie było za bardzo w czym pomagać, lecz Aleksandra chciała dodać koleżance otuchy. Uważała, że nie ma nic gorszego niż spędzanie czasu samotnie, w wielkim domu i zamartwianie się swoją sytuacją. Dziadek umówił się na karty z kilkoma kolegami, dawnymi rybakami, więc nie miała wyrzutów sumienia, zresztą obiecała wpaść do niego na obiad w niedzielę. Czuła, że Irminie jest bardziej potrzebna. Miały się we dwie zastanowić nad sensownym planem dla Drozdowa na nowy sezon. Irmina spuściła nos na kwintę i najwyraźniej trapiły ją niewesołe myśli. To był najlepszy moment, żeby ją pocieszyć. Od ubiegłego lata bardzo zbliżyły się ze sobą. Początkowo w ogóle się nie lubiły. Irma, zarozumiała i obojętna, wywyższała się ponad cichą i zaleknioną Aleksandrę. Ale to właśnie Ola okazała silny i niezłomny charakter, to ona potrafiła ofiarować prawdziwą przyjaźń i pomoc. Nawet zepsuta i nieczuła Irmina musiała to przyznać, a potem – docenić. Czas płynął, a ona zrozumiała, że trudno liczyć na lepszą i wierniejszą koleżankę; sama też się zmieniła. Niespostrzeżenie zaczęła zwracać uwagę na potrzeby innych, ich problemy i oczekiwania. Była wdzięczna Oli, że przyjeżdża ją wspierać, choć właściwie – obie zaledwie uczyły się zarządzania i wciąż popełniały wiele błędów. Było jednak w ich działaniach wiele entuzjazmu i kreatywności, którymi nadrabiały wszelkie braki.

– To jakiś znajomy? – zainteresowała się znowu Aleksandra, dyskretnie wskazując na przybysza.

– Nigdy go tutaj nie widziałam. – Irmina wzruszyła ramionami. Obserwowała dziwnego gościa z uwagą, zachodząc w głowę, czego on chce. Może to ktoś z banku, kto szacuje wartość nieruchomości? Obleciał ją strach, ale postanowiła się nie poddawać i śmiało stawić czoła niebezpieczeństwu. Wyszła zza kontuaru i zbliżyła się do mężczyzny.

– W czym możemy pomóc? Szuka pan kogoś? – spytała, starając się przybrać jak najbardziej przyjacielski ton, ale w jej głosie pobrzmiwała niepewność.

– Czy mówi pani może po niemiecku? Ja znam język polski bardzo słabo, wołałbym się nie męczyć, zresztą robię tyle błędów – powiedział mężczyzna z silnym akcentem, uśmiechając się przepraszająco.

– Niestety nie, ale znam angielski – wyjaśniła Irmina.

– Ja mówię po niemiecku – odezwała się Aleksandra, także podchodząc do nich.

– O, to doskonale – mężczyzna przeszedł na ten język. – Będzie mi łatwiej się wysłować. Jestem Hugo Reimerbach i poszukuje pamiątek po mojej rodzinie...

– Ach, tak! Ten dwór kiedyś należał do rodziny Reimerbachów! – zawołała Ola, a Hugo skinął głową.

– Owszem. Staram się uporządkować historię mojej rodziny, zbieram świadectwa. W tym celu badam różne źródła i dokumenty doprowadziły mnie właśnie tutaj...

– O czym on mówi? – zaniepokoiła się Irmina.

– To potomek dawnych właścicieli, rodziny Reimerbachów, kolekcjonuje jakieś historie familijne – wyjaśniła Aleksandra.

W życiu nie zawsze układa się tak, jak sobie
wyśniliśmy w marzeniach. Matylda Radwan
wraca nad morze pełna nadziei na nowy związek.
Pomiędzy nią a archeologiem Łukaszem Rokickim
coś się jednak psuje. Kobieta nie ma pojęcia, że
ukochany ukrywa przed nią pewien sekret... Z kolei
na dworze w Drozdowie pojawia się zagadkowy
człowiek, którego zamiary nie są do końca jasne dla
właścicielki, Anity Orontowicz. Trudno rozstrzygnąć,
czy przybysz chce jej pomóc, czy wręcz przeciwnie
– bardzo zaszkodzić. Spokoju nie może znaleźć też
Ola, wciąż czekająca na matkę. Czy jej nadzieje nie
zostaną zawiedzione?

FILIA

cena 49,90 zł

ISBN 978-83-8402-423-2



9 788384 024232